

## Łukasz Maślanka: Alienacja i reguła życia światowego

Proces upadku znaczenia burżuazji, ponownie jak wcześniej arystokracji, odbywał się na dwóch poziomach. Z jednej strony pojawiły się grupy społeczne pretendujące do hegemonii, z drugiej strony w ludzkich umysłach ujawniły się także jakieś wewnętrzne wątpliwości czy zwątpienia, które – co ciekawe – wcale nie musiały być wynikiem analizy społecznej - pisze Łukasz Maślanka w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Pustelnik. Samotność dla wspólnoty.

*„Kiedy podczas balu w Filadelfii dwoje młodych ludzi, miast tańczyć, oddawało się pogawędce, lokaj podszedł do nich i nakazał przyłączyć się do tańca mówiąc, że przecież nie przyszli na przyjęcie dla zabawy. Taki już nasz los, droga Hrabino, każdy musi odtańczyć w życiu swojego menueta”.*

*Joseph de Maistre*

Na długo zanim prorocy postmodernizmu uznali zjawisko samotności w tłumie i anonimowości życia miejskiego za jeden z rodzajów alienacji, podobne rozterki przeżywali ludzie, których stan materialny

lub pochodzenie społeczne upoważniały do niezajmowania się pracą zarobkową. Architekci oświeconego absolutyzmu przeczuwali, jak wielkim przekleństwem dla każdej władzy jest wolny czas poddanych. Cały wysiłek politycznej centralizacji może pójść na marne, gdy pozwoli się kilku myślącym ludziom spotykać się po kryjomu w wiejskich rezydencjach. Owocem tego przeczucia są wspaniałe zarazem klasztory i koszary dla arystokratów, jakie możemy podziwiać w pobliżu kilku obecnych i dawnych europejskich stolic: Wersal, Eskurial, Sanssouci, Caserta, Peterhof... Obowiązująca w nich etykieta ukształtowała się poprzez naśladowanie wzorów wojskowych i zakonnych. Celem nie było zbawienie ani wygranie wojny. Nie chodziło też o zdrowie psychiczne pozbawionych zajęcia arystokratów. Dążono do uniformizacji i podporządkowania elit idei dynastycznej zakłętej w sztywnej procedurze.

Francja była krajem, w którym zabieg ten został doprowadzony do perfekcji, choć od początku nosił w sobie ziarna przyszłej katastrofy. Szlachtę udało się skomasować w Wersalu na tyle skutecznie, by uniknąć kolejnej Frondy. Asystowanie przy pobudkach króla nie było jednak zajęciem na tyle fascynującym, by odciągnąć co bardziej wrażliwe dusze od pobocznych zajęć intelektualnych. Stąd mamy pełne zdrowego sceptycyzmu listy pani de Sévigné, maksymy La Rochefoucaulda, świadectwa dworskiej neurastenii (powieść pani La Fayette). Mamy też wielkiego buntownika duchowego – Pascala. Na marginesie dworskiego życia jest miejsca dla intymności literackich salonów. W osiemnastym stuleciu wyszły na jaw ambicje mieszczaństwa, pojawiła się pokusa tajnych zgromadzeń (masoneria). Swobodne paplanie o zagadnieniach etyczno-politycznych uznano za rozkwit filozofii. Idealnie gładka tkanina absolutyzmu zaczynała się coraz bardziej fałdować, zaś rzeczywistość coraz ciaśniej otaczała dwóch kolejnych następców Ludwika XIV. Król-słońce chciał

odizolować najbardziej narażoną na bunty warstwę społeczeństwa, lecz po jego śmierci sytuacja się odwróciła: to dwaj ostatni Burboni stali się więźniami Wersalu.

Rewolucja dała w kość wszystkim posiadającym warstwom społecznym, więc po jej zakończeniu zapanował pewien konsensus w samodyscyplinie. Mieszczanstwo stopniowo stawało się siłą konserwatywną. Nie było już jednego dworu, ale empirowy czy biedermeierowski salon nakładał na ludzką świadomość jakby niewidzialne pęta dobrobytu w zamian za konformizm. I znowu: romantyczny *mal du siècle*, kolejne rewolucje, a w końcu republikanizm i rozkwit parlamentaryzmu.

Tłem powieści psychologicznej przełomu XIX i XX wieku jest jesień wielkiego mieszczaństwa, które przejęło w społeczeństwie rolę pełnioną niegdyś przez arystokrację. Na wielu poziomach następuje powolna fuzja tych dwóch klas społecznych. (rojalistyczna, napoleońska i "lipcowa") arystokracja, często jeszcze w XX wieku bardzo dbała o separację swojego stanu od burżuazji, lecz coraz bardziej do niej się upodabniała. Burżuazja była znacznie większą grupą, toteż nie mogła podlegać nadzorowi jednego dworu lub policyjnego ośrodka. Świat ten wytworzył swoje własne frustracje, które wkrótce doprowadziły do kryzysu świadomości mieszczańskiej i delegitymizacji hegemonii tej grupy: roszczenia robotnicze, nacjonalizm, a w końcu ogólne zubożenie spowodowane Wielką Wojną i następującymi po niej kryzysami.

Proces upadku znaczenia burżuazji, ponownie jak wcześniej arystokracji, odbywał się zatem na dwóch poziomach. Z jednej strony pojawiły się grupy społeczne pretendujące do hegemonii, z drugiej strony w ludzkich umysłach ujawniły się także jakieś wewnętrzne wątpliwości czy zwątpienia, które – co ciekawe – wcale nie musiały być wynikiem analizy społecznej. W wielkich powieściach mieszczańskich końca XIX i pierwszych dwóch dekad XX wieku wcale nie dominuje wątek społeczny, lecz psychologiczny. *Pani Bovary, Lalka, Buddenbrookowie, Czarodziejska Góra, Człowiek bez właściwości, W poszukiwaniu straconego czasu, Anna Karenina, Idiota*: wszystkie te bardzo różne i powstałe w dość dużym rozrzucie czasowym historie łączy jakaś społeczna bezsilność ich bohaterów (mieszczan lub arystokratów – w zależności od tego, czy mamy do czynienia ze społeczeństwem francuskim, niemieckim, rosyjskim czy polskim). Bezsilność ta wcale nie ujawnia się na skutek konfrontacji z innymi klasami społecznymi, lecz ma charakter psychologiczny. Jest traumą, frustracją, świadectwem klęski i niemożności. Osobista tragedia bohatera czasami dopiero przekształca się w porażkę ekonomiczną czy wręcz w wielką społeczną klęskę. Tak jakby na pewnym etapie rozwoju danej grupy społecznej interweniował jakiś biologiczny rozpuszczalnik (lub, jak powiedziałyby człowiek wierzący, ręka Opatrzności), który odbiera siły i wiarę w celowość własnego działania. Bohaterowie kończą jako samobójcy, degeneraci, szaleńcy, nieszczęśliwi neurastenicy lub dają się porwać idei socjalnej czy narodowej. Choroba i samotność Marcela Prousta, niezwykle sugestywnie opisana przez Józefa Czapskiego w eseju *Proust w Griażowcu*, jest jakby egzemplifikacją dolegliwości intelektualnej elity mieszczaństwa, która w okresie swojego największego rozkwitu i gospodarczej prosperity dokonuje *gran rifiuto* i oddala się od obowiązków salonowych, skupiając się na osobistym cierpieniu czy angażując się w wielkie projekty społeczno-

profetyczne, pozwalając reszcie tańczyć na Titanicu. Proust ze swojego oddalenia chce jeszcze pozostawić nam portret tej niezwykle finezyjnej formy życia, które pogrzebały dwie wielkie wojny.

Nie są to rzeczy może bardzo odkrywczycielskie: bezsilność i beznadziejność literatury burżuazyjnej była szeroko analizowana przez krytyków marksistowskich. Degenerację mieszczaństwa uznawali oni za normalny etap procesu historycznego. Klasa ta odegrała w swoim czasie ważną rolę emancypacyjną, lecz ze względu na swoje interesy nie jest w stanie zaprowadzić świata ku rewolucji socjalnej. Musi zatem obumrzeć, czy to na skutek wewnętrznych sprzeczności, czy to pod młotem nowych klas panujących. W karykaturalnej już formie przedstawił ten proces degeneracji Paweł Hertz w wydanym tuż po wojnie zbiorze opowiadań *Sedan*. Oczywiście, znając biografię tego wybitnego edytora i tłumacza możemy się domyślać, że wydarzenia w nich przedstawione należy rozumieć tak, jak ten znany dowcip o pewnym Żydzie, który udał się do Wiednia, by obserwować piękną śmierć kapitalizmu. Z naciskiem na piękną, nie na śmierć. Już sam tytuł, niezwiązany fabularnie z akcją opowiadań, jest niezwykle przewrotny: klęska Francji w bitwie z Prusami pod Sedanem wyznacza niespodziewany i druzgocący koniec Drugiego Cesarstwa. Znienawidzony agresor otworzył drogę pierwszej wielkiej rewolucji socjalnej. W domyśle: podobną rolę mieli spełnić Sowieci w Polsce, co wcale nie czyni ich sympatycznymi. Natomiast bezpośredni sens nieco już zestarzałego dziełka Hertza opiera się po prostu na wyciągnięciu zgodnych z doktryną komunistyczną wniosków z całej dowojennej literatury psychologicznej. Krótki epizod marksistowski w życiu i twórczości Hertza nosi w sobie niezwykle silne ziarno hysterii, chce się go porównać z frenetycznym komunizmem Tadeusza Borowskiego (łączyło ich doświadczenie obozów). "Ukąszenie heglowskie" jawi się tutaj jako dalszy ciąg owej mieszczańskiej choroby, czy też jako bunt przeciwko spowodowanej nią bezsilności. Ale tego

rozdziału Paweł Hertz nie mógł już dopisać, nawet w stosunkowo jeszcze liberalnym roku 1947. Zaryzykuję tezę, że intelektualiści-poputczycy marksizmu szukali w tej ideologii jakiegoś nowego Wersalu, luksusowych koszar, w których pogruchotane doświadczeniem historycznym życie duchowe mogłoby odnaleźć swoją zdrową regułę.

Znacznie bardziej finezyjną analizę mieszczańskiego *mal du siècle* uodnajdujemy w zupełnie już zapomnianej powieści Zofii Nałkowskiej pt: *Choucas. Powieść internacjonalna*. Ale też powstała ona dwie dekady wcześniej, mniej więcej równocześnie z *Czarodziejską Górą* Tomasza Manna. Podobnie jak niemiecki noblista, Nałkowska umieszcza w szwajcarskim sanatorium alpejskim reprezentantów elit różnych narodów europejskich (i nie tylko). Każdy z nich dotknięty jest jakąś osobistą traumą, która często jest odbłaskiem wielkiej katastrofy dziejowej, jaką była I wojna światowa. Dochodzą jeszcze bardzo poważne problemy zdrowotne. Z tym wszystkim kontrastuje bajeczna przyroda. Po raz pierwszy chyba w literaturze europejskiej porusza Nałkowska takie tematy, jak rzeź Ormian, czy też szerzej – problem ludobójstwa i narodowego ucisku. Jak słusznie zauważył kilka lat temu w radiowej Dwójce prof. Włodzimierz Bolecki, sielankowość otoczenia nie ma żadnego wpływu na rozmowy i nastroje bohaterów. Tak jak dobrobyt przedwojennego mieszczaństwa europejskiego nie uchronił kontynentu przed wojną, tak też i szwajcarski spokój nie przynosi ukojenia ich bolączkom osobistym czy społecznym. Odwrotnie niż marksiści, Nałkowska nie szuka korzeni zła w niewłaściwych warunkach bytowych (bo te przecież nie były udziałem tej klasy społecznej, która na Wielką Wojnę się zdecydowała), lecz w świadomości bohaterów przybywających do międzynarodowego sanatorium napełnieni stereotypami i uprzedzeniami, których nie myślą weryfikować. Ta koincydencja zjawiska choroby somatycznej z problemami społecznymi i narodowościowymi nasuwa na myśl

refleksję o współistnieniu tych dwóch zjawisk, i o tym, że wielkie zło społeczne ma swój początek w słabości jednostek. Behawiorystyczna narracja Nałkowskiej wydaje się gotowym scenariuszem filmowym, którego umiejętne realizacja mogłaby zwrócić uwagę świata na polską kulturę.

Okres powojenny przyniósł Europie kolejne, jeszcze większe poszerzenie grupy społecznej dysponującej luksusem czasu wolnego i będącej przez to narażoną na ową dziwną przypadłość, której naturę – pewnie bezskutecznie – starałem się tutaj naświetlić. Wiemy już, że nie da się tego gnicia powstrzymać poprzez zaangażowanie jednostki w karby nowej wiary, nie jesteśmy w stanie ustalić jednej reguły, której obserwacja mogłaby uratować społeczeństwo przed gniciem. Jednostka jest zbyt autonomiczna i przekorna, jej życie wewnętrzne zbyt nieuchwytnie, zaś grupa docelowa już zbyt wielka, by jakiś inżynier dusz, nawet z wykorzystaniem nowoczesnej techniki medialnej, mógł skutecznie odwracać uwagę od potęgi naszego wewnętrznego *malaise*. Znowu nie pozostaje nam nic innego, jak wiara w sensowność *status quo*. Otaczają nas jednak narody i całe cywilizacje, dla których *status quo* jest przekleństwem. Wygląda na to, że w najbliższych latach wystawią na próbę naszą zdolność do jego obrony.